



KATY
EVANS

+1
Manwhore

GRZECH, KTÓRY ZNIEWOLIŁ
DWA SERCA



KATY EVANS

Manwhore⁺¹

— PRZEŁOŻYŁA —

Monika Wiśniewska



WYDAWNICTWO
KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Manwhore +1

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Monika Pruska

Korekta: Justyna Tomas

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © KireevArt (Shutterstock.com)

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2015 by Katy Evans

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Monika Wiśniewska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2019

ISBN 978-83-66234-44-4



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl



PLAYLISTA

Nicki Minaj • GRAND PIANO

Tove Lo • OUT OF MIND

Tove Lo • THOUSAND MILES

Cash Cash • SURRENDER

Arctic Monkeys • DO I WANNA KNOW

Purity Ring • BEGIN AGAIN

Tove Lo • TALKING BODY

Coldplay • A SKY FULL OF STARS

Maroon 5 • SUGAR

OneRepublic • I LIVED

Galantis • GOLD DUST

Ed Sheeran • THINKING OUT LOUD

Maroon 5 & Gwen Stefani • MY HEART IS OPEN

O.A.R. • PEACE

ODKRYWANIE MALCOLMA SAINTA

Autor: R. Livingston

Opowiem wam historię. Historię, przez którą zupełnie się rozpadłam. Która przywróciła mnie do życia. Dzięki której płakałam, śmiałam się, krzyczałam, uśmiechałam się, a potem znowu płakałam. Którą opowiadam sobie bez końca, aż zapamiętuję każdy uśmiech, każde słowo, każdą myśl. Historię, która mam nadzieję, że zostanie we mnie już na zawsze.

Zaczyna się od tego właśnie artykułu. To był typowy poranek w „Edge”. Poranek, w który dostałam wielką szansę: napisanie artykułu demaskującego Malcolma Kyle’a Prestona Logana Sainta. To człowiek, którego nie trzeba przedstawiać. Miliarder i playboy, cieszący się niesamowitym powodzeniem u kobiet, obiekt mnóstwa spekulacji. Ten artykuł miał otworzyć przede mną drzwi do świata poważnego dziennikarstwa.

Udało mi się umówić z Malcolmem Saintem na wywiad, którego tematami miały być Interface (jego niesamowity portal rywalizujący z Facebookiem) i jego coraz większa popularność. Tak jak całe miasto, miałam obsesję na punkcie tego człowieka, uznałam się więc za szczęściarę.

Tak się skupiłam na odkrywaniu prawdziwego Malcolma Sainta, że straciłam czujność i nie miałam świadomości, że za każdym razem, gdy się przede mną otwiera, tak naprawdę to o sobie samej dowiaduję się najwięcej. To, czego nigdy nie chciałam, nagle stało się przedmiotem mojego pragnienia. Pełna byłam determinacji, aby dowiedzieć się więcej na temat tego mężczyzny. Tej zagadki. Dlaczego był taki zamknięty w sobie? Dlaczego nic nigdy nie było dla niego wystarczające? Wkrótce się przekonałam, że to mężczyzna oszczędny w słowach. Człowiek czynu. Wmawiałam sobie, że każdy strzępek informacji potrzebny jest

do artykułu, ale tak naprawdę najwięcej informacji dotyczyło mnie samej.

Chciałam wiedzieć wszystko. Chciałam nim oddychać. Życ nim.

Jednak najbardziej nieoczekiwane było to, że Saint zaczął się do mnie zalecać. Szczerze. Z entuzjazmem. I wytrwale. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę się mną interesuje. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie próbował mnie w taki sposób zdobyć, żaden mnie tak nie intrygował. I jeszcze nigdy nie czułam z nikim takiej więzi.

Nie spodziewałam się, że moja historia się zmieni, tak się jednak stało. Historie już tak mają; zaczyna się szukać jednego, a wraca się z czymś zupełnie innym. Nie zamierzałam się zakochać. Nie zamierzałam tracić zdrowego rozsądku z powodu najpiękniejszych zielonych oczu, jakie dane mi było widzieć. Nie zamierzałam oszaleć z pożądania. Ale skończyło się to tak, że znalazłam mały kawałek swojej duszy, kawałek, który tak naprawdę nie jest wcale taki mały: ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona, dłonie dwa razy większe od moich, zielone oczy, ciemne włosy, do tego jest inteligentny, ambitny, serdeczny, szczodry, wpływowy i seksowny.

Żałuję, że okłamywałam zarówno siebie, jak i jego; żałuję, że zabrakło mi doświadczenia, aby rozpoznać własne uczucia. Żałuję, że nie rozkoszowałam się bardziej każdą spędzoną z nim sekundą, gdyż te sekundy są dla mnie teraz najważniejsze na świecie.

Nie żałuję jednak tej historii. Jego historii. Mojej historii. Naszej historii.

Zrobiłabym to raz jeszcze, byle przeżyć z nim jeszcze jedną chwilę. Wszystko bym powtórzyła. Wzbiłabym się ślepo w powietrze, nawet gdyby istniał tylko niewielki ułamek szansy na to, że on tam będzie czekał i mnie odnajdzie.

CZTERY TYGODNIE

Nigdy wcześniej nie byłam tak pełna nadziei, jak w chwili, gdy wsiadłam do szklanej windy w biurowcu M4. Razem ze mną na górę jedzie kilkoro pracowników, wymieniających się zdawkowymi słowami powitania. Nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. W odpowiedzi uśmiecham się – nerwowo, lecz z nadzieją. Zdecydowanie z nadzieją. Pracownicy wysiadają na kolejnych piętrach, aż w końcu zostaję sama. I jadę na ostatnie piętro.

Do niego.

Do mężczyzny, którego kocham.

Moje ciało wariuje. Krew buzuje w żyłach jak szalona. Nogi mi się trzęsą. Mam wrażenie, że w moim brzuchu dochodzi do niewielkich drgań, które z chwilą gdy winda się zatrzymuje, przechodzą w regularne trzęsienie ziemi.

Wychodzę z niej i oto znajduję się w samym sercu korporacyjnej nirwany, otoczona eleganckim chromem i nieskazitelnie czystym szkłem, marmurem i wapiennymi pły-

tami na podłodze. Ale ja widzę jedynie znajdujące się na końcu wysokie i imponujące drzwi z matowego szkła.

Po obu stronach stoją dwa długie, designerskie biurka w kolorze ciemnego dębu, za którymi siedzą cztery kobiety w identycznych czarno-białych kostiumach i pracują cicho, ukryte za dużymi płaskimi monitorami.

Jedna z nich, czterdziestoletnia Catherine H. Ulysses – prawa ręka mężczyzny, który jest właścicielem każdego centymetra tego budynku – na mój widok przerywa to, co robi. Unosi brew. Na moją obecność reaguje zarówno napięciem, jak i uczuciem ulgi. Podnosi słuchawkę i wypowiada cicho moje nazwisko.

Ja. Nie. Oddycham.

Catherine tymczasem nie traci rezonu. Wskazuje mi wielkie, szklane drzwi – te onieśmiałające drzwi – które prowadzą do kryjówki najpotężniejszego człowieka w Chicago.

Człowieka, który ma najpotężniejszy wpływ *na mnie*.

Na to właśnie czekałam przez cztery tygodnie. Tego pragnęłam, kiedy wysyłałam mu tysiąc SMS-ów, a także kiedy pisałam tysiąc innych, których ostatecznie nie wysłałam. Spotkania z nim.

I aby on chciał się spotkać ze mną.

Kiedy jednak zmuszam się, by iść naprzód, sama nie jestem pewna, czy po tym, co zrobiłam, znajdę w sobie siłę, aby stanąć przed nim i spojrzeć mu prosto w oczy.

Jestem tak zdenerwowana, pełna wyczekiwania i nadziei – tak, mimo wszystko nadziei – że trzęsę się jak liść na wietrze.

Catherine otwiera drzwi, a ja z wysoko uniesioną głową – choć przychodzi mi to z ogromnym trudem – wchodzę do gabinetu.

Po dwóch krokach słyszę, jak drzwi się zamykają, i nieruchomieję na widok najpiękniejszego gabinetu, w jakim dane mi było się znaleźć.

Jest ogromny, cały w chromie i marmurze, ma prawie cztery metry wysokości i niezliczoną liczbę okien, umieszczonych od podłogi aż po sufit.

A oto i on. Centrum osi pomieszczenia. Centrum mojego świata.

Chodzi wzdłuż rzędu okien tam i z powrotem i mówi coś do telefonu cichym, niskim głosem – takim, którego używa, kiedy jest wkurzony. Jedyne, co udaje mi się wychwycić, to: „Prędeż umrę” i „Wpaść w jego szpony”.

Rozłącza się i jakby wyczuwając moją obecność, odwraca głowę. Na mój widok w jego oczach pojawia się błysk. W jego zielonych oczach.

Boleśnie znajomych, pięknych zielonych oczach.

Robi wdech, bardzo powoli jego klatka piersiowa się unosi, a on patrzy na mnie, zaciskając lekko dłonie w pięści.

Ja też patrzę na niego.

Malcolm Kyle Preston Logan Saint.

Właśnie stoję oko w oko z najpotężniejszą burzą w moim życiu. Nie. Nie burzą. Cyklonem.

Nie widziałam go cztery tygodnie. I jest dokładnie taki, jakim go zapamiętałam. Nieopanowany i nieodparcie pociągający.

Uderzająco przystojną twarz ma idealnie ogoloną, a pełne usta wyglądają tak boleśnie zmysłowo, że niemal czuję je na swoich. Przedemną stoi ponad metr osiemdziesiąt idealnie kontrolowanej męskiej siły, odzianej w perfekcyjnie skrojony garnitur. Kwintesencja diaboliczności w Armanim: kwadratowa szczeka, błyszczące ciemne włosy, no i oczywiście to przenikliwe spojrzenie.

Jego oczy są naprawdę niesamowite.

Pojawia się w nich błysk, kiedy się ze mną droczy, a kiedy się nie droczy, są tajemnicze i nie da się z nich niczego wyczytać. Oceniające i inteligentne. Sprawiają, że próbuję odgadywać jego myśli.

Ale zdążyłam już zapomnieć, jakie te oczy potrafią być zimne. W tej chwili patrzą na mnie zielone odłamki arktycznego lodu.

Zaciska usta i odkłada telefon.

Wygląda nieprzystępnie niczym skała, a biała koszula przywiera do jego skóry niczym kochanka. Ale ja wiem, że on nie jest skałą – na skałę nie mam ochoty rzucić się tak jak na niego.

Idzie w moją stronę tym swoim cichym, pewnym siebie krokiem, a mnie serce wali jak oszalałe.

Gdy dzieli nas nieco ponad metr, on się zatrzymuje i wkłada ręce do kieszeni spodni. I nagle wydaje się taki wielki i pachnie tak cudnie. Opuszczam wzrok na jego krawat, a isierka nadziei, z którą tu weszłam, zaczyna blednąć.

– Malcolmie... – zaczynam.

– Saint – mówi cicho.

Brak mi tchu.

Czekam, aż coś powie – powie, jaka jestem beznadziejna – i czuję ból, kiedy tego nie robi. Zamiast tego od strony drzwi rozlega się głos Catherine:

– Panie Saint, przyszedł Stanford Merrick.

– Dziękuję. – Choć głos ma cichy, słysząc w nim siłę. Nie spodziewanie wzdłuż kręgosłupa przebiega mnie dreszcz.

Z zażenowaniem wbijam wzrok w błyszczącą marmurową podłogę. Moje buty. Włożyłam coś, w czym sądziłam, że będę ładnie wyglądać. Boże, nie wydaje mi się, aby on to w ogóle zauważył albo był tym zainteresowany.

- Rachel, poznaj Stanforda Merricka z działu kadr.

Płoną mi policzki, kiedy słyszę, jak wypowiada moje imię. Nadal nie jestem mu w stanie spojrzeć w oczy, zamiast tego skupiam się na wymianie uścisku dłoni ze Stanfordem Merrickiem. Merrick jest mężczyzną średniego wzrostu, z przyjaznym uśmiechem i prezencją, którą Saint zdecydowanie przyćmiewa.

- Miło panią poznać, pani Livingston - mówi.

Słyszę odgłos odsuwanej krzesła i kolana mam jak z waty, kiedy ponownie dobiega mnie głos Sainta:

- Usiądź.

Robię, co mi każe, wciąż unikając jego wzroku.

W czasie gdy Catherine nalewa kawy spoglądam na niego kątem oka.

Odpina guzik marynarki i siada pośrodku długiej skórzanej kanapy w kolorze kości słoniowej, dokładnie naprzeciwko mnie. Wygląda tak mrocznie w tym czarnym garniturze. Tak mrocznie na tle słonecznego dnia, na tle jasnej kanapy.

- Panie Saint, mam mówić czy też chce pan to przekazać osobiście? - pyta Merrick.

Nie odrywa ode mnie wzroku.

- Panie Saint?

Marszczy lekko brwi, kiedy dociera do niego, że nie słuchał, i mówi:

- Tak.

Opiera się i kładzie rękę na oparciu kanapy. Czuję na sobie jego wzrok, gdy tymczasem Merrick wyjmuje z teczki jakieś dokumenty. Siedzę sztywno wyprostowana.

Pole energii Sainta jest dzisiaj ogromne, przemożne i zupełnie niemożliwe do rozszyfrowania. Jedyna myśl, jaką mam w głowie, to: „Czy ty mnie nienawidzisz?”.

- Od jak dawna pracuje pani w „Edge”, pani Livingston? - pyta Merrick.

Waham się i dostrzegam, że leżący obok Santa telefon zaczyna wibrować. Bierze go do ręki i jednym płynnym ruchem kciuka wyłącza go.

Niespodziewanie swędzi mnie kącik ust.

Poprawiam się na krześle.

- Od kilku lat - odpowiadam.

- Jest pani jedynaczką, zgadza się?

- Zgadza.

- W zeszłym roku otrzymała pani nagrodę od CJA w kategorii reportaż?

- Tak. Ja... - Szukam w głowie odpowiednich słów spośród tych wszystkich: „Przepraszam” i „Kocham cię” - ... poczułam się zaszczycona samą nominacją.

Saint powoli zdejmuje ramię z oparcia sofy, po czym w zamyśleniu opuszką kciuka przesuwa po dolnej wardze. Milcząc, bacznie mi się przygląda.

- Widzę, że dla „Edge” zaczęła pani pracować jeszcze przed ukończeniem uniwersytetu Northwestern, zgadza się?

- Tak. - Pociągam za rękaw swetra, próbując się skupić na zadawanych mi pytaniach.

Kątem oka przez cały czas zerkam, co robi *on*. Sin. Widzę, jak sączy wodę, jak mocno zaciska palce na szklance.

Widzę jego ciemne włosy, ciemne rzęsy. Usta. Nieuśmiechnięte. Oczy, które w ogóle się nie skrzą. Odwracam głowę w jego stronę i mam wrażenie, że na to czekał. Wpatruje się we mnie z taką intensywnością, jak tylko on potrafi, a kolor zielony staje się całym moim światem. Światem arktycznego, nietykalnego, niezniszczalnego zielonego lodu.

Taki przemożny chłód nie powinien sprawiać, że robi się aż tak gorąco. Ale w tym lodzie buzuje ogień, palący ogień.

- Przepraszam, straciłam wątek. - Odrywam wzrok od Sainta.

Zmieszana poprawiam się na krześle i koncentruję się na Merricku. Ten patrzy na mnie dziwnie i jakby z odrobiną współczucia. Rejestruję niewielkie poruszenie tam, gdzie siedzi Saint. Przesuwa się na kanapie, aby lepiej widzieć Merricka. I spostrzegam, że patrzy na niego z wyraźnym niezadowoleniem.

- Daj już spokój tym bzdurom, Merrick.

- Oczywiście, panie Saint.

O Boże. Jeszcze bardziej pąsowieję na myśl, że Saint założył, iż ten człowiek mnie peszy.

- Pani Livingston - zaczyna raz jeszcze Merrick, po czym robi pauzę, jakby zamierzał powiedzieć rzecz wielkiej wagi. - Pan Saint jest zainteresowany poszerzeniem listy usług, jakie Interface świadczy swoim subskrybentom. Oferujemy zupełnie nowe treści z konkretnych źródeł, czyli przede wszystkim spod pióra grupy młodych dziennikarzy, felietonistów i reporterów, których planujemy zatrudnić.

Interface. Jego najnowsze przedsięwzięcie. Rozrastające się w niesłychanie szybkim tempie, łamiące po drodze wszelkie bariery technologiczne i rynkowe. Nie dziwi mnie, że Saint robi ten kolejny krok - to genialne posunięcie, następny logiczny ruch firmy, która znajduje się na liście dziesięciu najlepszych pracodawców.

- Doskonały pomysł, Malcolmie - oświadczam.

O mój Boże!

Czy ja go właśnie nazwałam Malcolmem?

To go chyba zbija z tropu. Na ułamek sekundy jego spojrzenie ciemnieje. Wygląda to tak, jakby w jego wnętrzu szalała burza... Ale chwilę później wszystko się uspokaja.

– Cóż, wspaniale to słyszeć – odzywa się Merrick. – Jak pani wiadomo, pani Livingston, pan Saint potrafi wyczuć prawdziwy talent. I chce, aby dołączyła pani do jego zespołu.

Saint nie odrywa ode mnie wzroku. Przygląda się, jak uśmiech znika mi z twarzy, a zastępują go szok i niedowierzanie.

– Proponujecie mi pracę?

– Tak. – To Merrick odpowiada na moje pytanie. – W rzeczy samej, pani Livingston. Pracę w M4.

Zaniemówiłam.

Wbijam wzrok w kolana i przetrawiam to, co właśnie usłyszałam.

Sin nie chce ze mną rozmawiać.

Moja obecność prawie nie robi na nim wrażenia.

Zadzwonił do mnie po czterech tygodniach z powodu *tego*.

Podnoszę głowę i nasze spojrzenia się krzyżują. W tej samej chwili mam wrażenie, jakby przeszyla mnie błyskawica. Zmuszam się do tego, aby nie odwracać wzroku od jego twarzy, z której nie jestem w stanie wyczytać absolutnie niczego. Kiedy się odzywam, staram się, aby mój głos brzmiał spokojnie.

– Propozycja pracy to ostatnie, czego się dzisiaj spodziewałam. Czy to wszystko, czego ode mnie chcesz?

Jednym płynnym ruchem nachyla się i opiera łokcie o kolana, przez cały czas wpatrując się we mnie.

– Chcę, abyś ją przyjęła.

O.

Boże.

Sprawia wrażenie równie poważnego, jak tamtego wieczoru, kiedy mnie „zaklepał”...

Odrywam w końcu wzrok od jego twarzy i przez chwilę patrzę w okno. Chcę mówić na niego Malcolm, ale dociera do mnie, że on nie jest już dla mnie Malcolmem. Nie jest nawet Saintem, który niemiłosiernie się ze mną droczył. To jest Malcolm Saint. Patrzący na mnie tak, jakby ani razu nie trzymał mnie w swoich ramionach.

- Wiesz, że nie mogę porzucić swojej pracy - mówię, odwracając się.

- Sprostamy twoim oczekiwaniom finansowym - odpowiada natychmiast.

Kręcę głową i lekko się śmieję z niedowierzaniem, po czym pocieram skronie.

- Merrick - rzuca jedynie Saint.

A Merrick, wyraźnie spięty, wraca do wyjaśnień.

- Jak już mówiłem, będziemy oferować naszym subskrybentom treść newsową, a pan Saint od dawna jest fanem pani pióra. Docenia szczerść i podejmowane przez panią tematy.

Pąsowieję.

- Dziękuję. Niesamowicie mi to schlebia - mówię. - Ale tak naprawdę istnieje tylko jedna odpowiedź - dodaję bez tchu - i już jej udzieliłam.

- To poważna propozycja pracy, zatem w ciągu tygodnia oczekujemy jej przyjęcia bądź odrzucenia.

Kładzie na stole plik dokumentów.

Patrzę na nie, nie będąc w stanie pojąć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Czemu to robisz? - pytam.

- Bo mogę. - Saint patrzy na mnie spokojnie. Spojrzenie ma rzeczowe. - Mogę zaoferować ci więcej niż twój obecny pracodawca.

Pozostaje w bezruchu, a mimo to mój świat wiruje w szaleńczym tempie.

– Weź te dokumenty, Rachel – dodaje.

– Ja-ja... nie... chcę.

– Zastanów się. Przeczytaj je, zanim mi odmówisz.

Wpatrujemy się w siebie o ułamek sekundy za długo.

Wstaje i z kocią gracją się prostuje. Malcolm Kyle Preston Logan Saint. Dyrektor generalny najpotężniejszej korporacji w tym mieście. Obsesja kobiet. Ulotny niczym kometa. Nieustępliwy i bezwzględny.

– Przed końcem tygodnia moi ludzie skontaktują się z tobą.

Ni z tego, ni z owego zastanawiam się, czy ten mężczyzna kiedykolwiek przestanie mnie zaskakiwać. Naprawdę jestem pełna podziwu dla jego opanowania. Jeśli choć przez chwilę sądziłam, że jakoś się dogadamy, myliłam się. Saint nie będzie marnował na to czasu. Jest zbyt zajęty zaspokajaniem swoich bezkresnych ambicji, podbojem świata.

A ja? Ja tylko próbuję poskładać swój świat w jedną całość.

Biorę głęboki oddech i w milczeniu zabieram dokumenty. Nie żegniam się ani nie dziękuję. Po prostu cicho wychodzę.

Otwieram drzwi i nie mogę się powstrzymać przed ostatnim zerknięciem na gabinet, ostatnim zerknięciem na Santa: siedzi na kanapie z dłońmi na kolanach, wzdycha i dotyka twarzy.

– Potrzebuje pan ode mnie czegoś jeszcze, panie Saint?

– pyta Merrick tonem, który błaga o więcej pracy.

Kiedy Saint unosi głowę, dostrzega, że mu się przyglądam. Oboje zamieramy i po prostu patrzymy. Na siebie. On nieufnie i ostrożnie, ja z całym żalem, jaki mnie drę-

czy. Jest tyle rzeczy, które chcę mu powiedzieć, a mimo to odchodzę w milczeniu, zamykając za sobą drzwi.

Jego asystentki patrzą, jak się oddalam.

Wchodzę cicho do windy i zjeżdżając do lobby, przyglądam się swemu odbiciu w stalowych drzwiach. Całkiem ładnie wyglądam z rozpuszczonymi włosami, ubrana w miękkie, kobiece, opinający ciało strój. Ale kiedy patrzę sobie w oczy, wyglądam na tak zagubioną, że mam ochotę dać nura do swojego wnętrza, aby się odnaleźć.

I dociera do mnie, że miłość jest równie zmienna, jak niebo czy ocean: nie znika, ale nie zawsze jest słoneczna, czysta czy spokojna.

Wychodzę z budynku i zatrzymuję taksówkę, a kiedy odjeżdżamy, odwracam się i przez chwilę mierzę wzrokiem piękną lustrzaną fasadę budynku M4. Jest taki królewski, taki nieprzenikniony. Wtedy wibruje mi telefon.

NO I JAK?!

POGODZILIŚCIE SIĘ?!

MÓW! WYNN WYCHODZI ZA 3 MIN I CHCE WIEDZIEĆ.

CZYTAŁ TWÓJ ARTYKUŁ? ZMIĘKŁ PRZEZ TO?

Czytam SMS-y od Giny i nie jestem w stanie wykrzesać z siebie energii, żeby na nie odpisać. Kierowca włącza się do ruchu.

- Dokąd jedziemy? - pyta.

- Proszę po prostu trochę pojeździć.

Wyglądam przez szybę na Chicago - miasto, które kocham i które jednocześnie mnie przeraża, gdyż nigdy nie czuję się w nim do końca bezpieczna. Wszystko wygląda tak samo. Chicago nadal tętni życiem, jest wietrzne, elektrycz-

ne, nowoczesne, wspaniałe i niebezpieczne. To dokładnie to samo miasto, w którym mieszkam przez całe życie.

To nie metropolia się zmieniła, lecz ja.

Podobnie jak tysiąc kobiet przede mną, zakochałam się w ulubionym kawalerze tego miasta.

I już nigdy nie będę taka jak wcześniej.

Tak jak się obawiałam, po tym, co się stało, on już nigdy nie będzie mój.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059